Rocznik IV. Kraków 1-go maja 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 5

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie 1 dolar

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Walka o szkołę.

Nie tak dawno temu donosiły gazety o strejkach szkolnych i zaburzeniach wybuchających to tu, to tam w obrębie Galicyi i w ogóle całej Austryi. Objaw ten zastanowić musi każdego, dowodzi on bowiem, że w naszych stosunkach szkolnych coś się zaczyna psuć i że jakieś nowe wchodzą tu w grę prądy, które podkopują pracę wychowawczą w szkołach i sprowadzają młodzież na złe drogi.

Prądy te nie tak trudno znaleść. Rozkładowa działalność socyalizmu i wolnomyślnego liberalizmu wdzierając się coraz głębiej w dusze społeczeństwa aż nazbyt dobrze przygotowała grunt pod to, co się dziś w szkołach dzieje. „Precz z nauką religii ze szkół!“ „Precz z krzyżem ze szkół!“ oto hasła, które dziś znajdują nietylko wyznawców, ale i gorących obrońców i szerzycieli.

A skutek tych haseł? Oto młodzież nasza zaczyna moralnie i duchowo upadać. Nie szkoła tutaj ponosi winę, nie! To społeczeństwo winno, że doprowadziło szkołę do takiego upadku, dając jej lichych często nauczycieli, lichych uczniów i bardzo lichych nieraz rodziców.

Nie mieliśmy odwagi mimo, że nazywamy się ludnością katolicką, bronić szkół naszych przed zgubnymi wpływami,

jakie na nie powoli, ale skutecznie oddziałują. Katolicyzm nasz, bardzo często powierzchowny i bez czynów w praktyce stał się tylko czemś, o czem się wiele opowiada, ale czego na prawdę poważnie się nie traktuje. Tem samem osłabły moralne zasady, które w myśl nauki Chrystusa Pana miały się stać przewodnikami w naszem życiu.

Rozkład społeczeństwa rozpoczął się w rodzinie. Tu najpierw zabrakło ducha chrześcijańskiego. Nie mają go dziś dosyć ojcowie, ktorym wobec kolegi bezwyznaniowego lub wolnomyślnego „nie wypada“ występować ze swemi katolickiemi przekonaniami. Do białych kruków zaliczyć można wypadki, kiedy starszy mężczyzna w towarzystwie ma odwagę skarcić kogoś drugiego strojącego sobie żarty z religii lub jej obrządków.

Takich „bohaterów“ my nie posiadamy, bo, jak to u nas się mówi, „nie wypada“ tak natrętnie ze swemi przekonaniami się narzucać.

To też dzieci nasze mając taki przykład w domu, nie przychodzą już z zbyt silnemi przekonaniami religijnemi do szkoły.

Szkoły nasze, o których socyaliści i bezwyznaniowcy powiad ją, że są na wskróś klerykalne, w istocie rzeczy takiemi nie są. Dlaczego?

Po pierwsze sposób nauczania w szkołach coraz bardziej pod wpływami społeczeństwa staje się niekatolickim. Coraz więcej mamy sił nauczycielskich, które pokarm duchowy czerpią z pism socyalistycznych i im podobnych.

Zapewne nauczyciele oburzą się, że zarzucamy im brak ducha katolickiego w ich prowadzeniu szkół i wychowywaniu naszych dzieci. Niestety jednak tak jest. Bardziej występuje to w szkołach średnich i wyższych, mniej w szkołach ludowych, choć i tu nauczyciel socyalista nie jest już dzisiaj wyjątkiem.

Bardzo wiele do psucia ducha katolickiego przyczynia się także i to, że dzieci rodziców katolickich uczęszczają do szkół razem z żydami. Zasady moralności wyznawane przez żydów stoją znacznie niżej, aniżeli etyka katolicka. W ostatnich miesiącach byliśmy świadkami we wschodniej Gali-

cyi faktu, że żydzi mając w szkole większość dzieci żydowskich, zupełnie jawnie domagali się wyrzucenia z sali szkolnych krzyżów. Jad nienawiści szczepiony przez żydów w ich dzieci doprowadził już do takich wypadków, że dzieci żydowskie wobec katolickich bluźniły głośno, mówiąc o Matce Boskiej, a tem straszniejsze, że czyniły to dziewczęta żydowskie.

Zapytać się wobec tego trzeba, czy takie szkoły mogą dać naszym dzieciom wychowanie w duchu katolickim? Nigdy, — przeciwnie młodzież nasza opuszczając dzisiaj szkołę wchodzi w życie pełna jakichś poglądów niezdrowych, które często prowadzą ją do upadków moralnych, a czasem nawet do targnięcia się na swe życie. Statystyka ostatnich lat wykazuje wielu samobójców z pośród młodzieży w wieku szkolnym.

Do tych niedomagań w szkole przybywa jeszcze jeden wróg zewnętrzny to jest agitacya nieuczciwych i niesumiennych ludzi, która ma na celu, aby młodzież wciągnąć w różne tajne stowarzyszenia i związki, mające rzekomo dopomagać im w kształceniu się, a istocie szerzące wśród niej zgniliznę duchową. W Krakowie i zachodniej Galicyi, obok socyalistów, którzy bardzo energicznie agitują wśród młodzieży szkolnej, pojawił się w ostatnich latach były docent Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Augustyn Wróblewski, anarchista, człowiek o chorej duszy i wyobraźni, który organizuje tajne kółka uczniów szkół średnich i w nich zaszczepia zasady anarchizmu, pogardy dla prawa i religii. Władze prawie nic nie czynią, aby powstrzymać tę zbrodniczą działalność, owszem przeciwnie, jak donoszą pisma, ów pan otrzymuje nawet subwencye z ministeryum oświaty.

Czyż to wszystko nie jest zbrodnią popełnianą na naszem pokoleniu? Do czego dojdziemy, jeśli spokojnie patrzeć będziemy na takie zabijanie młodych dusz naszych dzieci? Jeśli tak dalej pójdzie, to istotnie społeczeństwo nasze zacznie marnieć i moralnie upadać.

Głos w obronie dzieci naszych, w obronie ich dusz rozlegnąć się powinien donośnie po całym kraju. Niebezpieczeństwo jest coraz większe.

Walka w obronie szkoły, którąby na prawdę wychowywała nasze dzieci po katolicku staje się z każdym dniem trudniejsza, w miarę tego, jak społeczeństwo samo zatraca w sobie ducha katolickiego.

Jeden jest tylko na to ratunek, skuteczny i radykalny, to jest stworzenie szkół wyznaniowych. Będziemy mieli wtedy szkoły na prawdę katolickie, które pozostając pod nadzorem ludzi o wypróbowanych katolickich przekonaniach nie będą demoralizowały młodzieży, ale ją po katolicku wychowywały.

Niech żydzi mają swoje osobne szkoły. Niech wolnomyślni i liberałowie tworzą szkoły dla siebie, a społeczeństwo katolickie niech ma także własne uczelnie.

Zobaczymy wtedy ile i jakich dzieci wychowywać się będzie w jednych i drugich szkołach.

I zobaczymy, z których szkół wyjdą dzielniejsi obywatele i patryoci.

Socyaliści i liberali wiedzą, dlaczego bronią się usilnie przeciw zaprowadzeniu szkół wyznaniowych. Rozumieją dobrze, że w dzisiejszych szkołach zło, które oni szczepią, hoduje się po cichu, w ukryciu. Jako takie, jako owoc zakazany lepiej młodzieży smakuje i łatwiej im jest swą niecną agitacyę uprawiać. Ale zerwijmy raz przecież maskę z tych obłudników. Stwórzmy szkoły prawdziwie katolickie, a nie będziemy wtedy potrzebowali z takim niepokojem patrzeć i na te strejki szkolne, które raz po raz wybuchają, na samobójstwa młodzieży. Nie zobaczymy wtedy studentów w gimnazyalnych mundurach w szynkach lub norach rozpusty, tak jak to dzisiaj się dzieje.

Jeśli w szkole będą tacy nauczyciele, którzy tak, jak to teraz często bywa, nie będą się wstydzili, chodzić razem z młodzieżą do kościoła lub przystępować razem do świętych Sakramentów, to wtedy możemy spokojnie powierzyć i im wychowanie naszych synów i córek, gdyż nietylko słowem ale i żywym własnym przykładem będą im drogę cnoty i uczciwości wskazywali.

Zmiany te przeprowadzić może samo tylko społeczeństwo, ale tylko wtedy, jeśli samo będzie szczerze po katolicku myślało i czuło.

Niebezpieczeństwo wielkie i coraz bliższe, więc ojcowie i matki katolickie bierzcie się do pracy.

Posłannictwo Polski.

PANI NARODÓW!

(Dokończenie).

Nie siła fizyczna i materyalna potęga stanowią o posłannictwie Bożem, ale duch Boży, duch prawdy, duch sprawiedliwości, szlachetny duch braterstwa narodowego — a tego w Rosyi nie masz. Widzimy więc namacalnie, że Bóg nie dał Rosyi misyi przodowania w Słowiańszczyźnie.

Polska otrzymała od Boga tę misyę, i tak długo była wielką i niepodległą, jak długo spełniła posłannictwo swe narodowe i światowe, była królową Słowiańszczyzny i Panią narodów.

Za króla Sobieskiego stanęła na szczycie swej chwały i potęgi. Ale szlachta była niewdzięczną i krótkowzroczną, usunęła dzieci Sobieskiego od tronu, wybrała królem króla saskiego, Niemca, wroga Słowiańszczyzny, i zapomniała o misyi narodowej i posłannictwie światowem. Hulaszczość i rozpusta saska struła naród i zgubiła, i truje i gubi go częściowo jeszcze do dnia dzisiejszego. Kto nie strzeże się tej choroby, kto zakosztuje ocukrzonej trucizny: kart, zbytków i hulatyki, — ten przepadł dla narodu, przepadł dla Słowiańszczyzny.

Kultura rzymska, moc i potęga jej państwowa zostały wydane na łup barbarzyńców przez niezgodę możnych, którzy zatracili ideę przewodnią narodu. — Podobnie niezgoda magnatów polskich, którzy zaprzepaścili posłannictwo dane Polsce, wydała w niewolę naród. Kultura polska, dorobek świetny tylu wieków, stały się pastwą despotycznego nacyonalizmu rosyjskiego i niemieckiego.

Ale umysły wyższe zrozumiały karę Bożą i cel, jaki miała Opatrzność, dopuszczając jarzmo niewoli na Polskę. Umysły te oczyszczone cierpieniem, wróciły do myśli przewodniej i do misyi, jaką Bóg dał polskiemu narodowi.

Więc stała się rzecz niesłychana w Słowiańszczyźnie i w dziejach świata całego. W niewoli powstały wśród Polaków króle-duchy, wieszcze narodu, wielcy bohaterzy, ludzie opatrznościowi, którzy jako słońca zabłyśli wśród swego narodu, uznani zostali przez Słowiańszczyznę i podziwiani są przez świat cały.

— A którzy uczeni są, świecić będą jako światło wieczne; a którzy do sprawiedliwości zaprawiają ludzi, świecić będą, jako gwiazdy na wieki — mówi prorok. (Dan. 12).

Wysławiajmy więc męże chwalebne i ojce nasze. Mądrość ich opowiadać będą narody, a chwałę ich opowiada kościół. (Ekkl. 44).

Tak żydom dawał Bóg w niewoli i w upadku proroków, — a pod jarzmem rzymskiem dał żydom i światu Jezusa Chrystusa!

W tysiącleciu dziejów Polski tak było zawsze. Ile razy Polacy odstąpili od swego posłannictwa dziejowego — zawsze zsyłał Bóg na nich karę; ile razy wrócili do swej misyi narodowej, zawsze święcili tryumfy zwycięstwa.

W dobie obecnej naród polski ocknął się z długiego letargu i odrętwienia, a wracając za głosem wieszczów do posłannictwa otrzymanego od Boga, odzyskuje zwolna zdrowie narodowe i naczelne stanowisko królewskie wśród Słowiańszczyzny.

Chodzi teraz o to, abyśmy ideały naszych wieszczów i złote myśli, rozrzucone w ich dziełach, zebrali króciutko i przystępnie razem, nigdy Ewangelię narodową, i rozpowszechniali ją w całym kraju, głosili ją w każdej chacie. Spiszmy także po krótce martyrologię poską, przypominając na każdy dzień imiona tych bohaterów, którzy cierpieli za Polskę lub życie swe złożyli na ołtarzu Ojczyzny. Uświadomienie narodu raźnym wtenczas pójdzie krokiem, a każdy dom polski stanie się fortecą polską i pochodnią oświaty dla Słowiańszczyzny.

Dla Polaka niema granic, niema wygnania, niema tułaczki. Gdzie jest Polak, tam w jego domu-fortecy jest Polska, bo każdy Polak w sercu swem nosi Ojczyznę. Gdzie jest znający swe posłannictwo narodowe Polak, tam jest Polska. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński na obczyźnie najpiękniejsze pisali rzeczy, doskonale służyli narodowi i niby hetmani, niby króle-duchy prowadzili go do odrodzenia.

Ukochawszy posłannictwo narodowe, nie rozstrzelajmy sił w rozmaitych kierunkach, ale skupiajmy je razem ku celowej pracy. Załatwiajmy jedną sprawę za drugą z wybuchowym zapałem, a wtenczas prędko zobaczymy dodatnie owoce naszych wysiłków, i wtenczas utrzymamy zdobyte na nowo przez wieszczów naszych przodownictwo w krainie ducha wśród Słowiańszczyzny — niezachwianie i niepodzielnie.

Oto posłannictwo nasze, oto przewodnia idea naszej pracy: — Wszystko dla narodu. Każda myśl, każde uczucie, każde drgnienie serca, każdy czyn — wszystko dla dobra narodu; przez naród dla Słowiańszczyzny, przez Słowiańszczyznę dla ludzkości.

Skoro naród polski wybranym jest przez Boga narodem skoro naczelną mu rolę przekazał w Słowiańszczyźnie a apostolską wśród ludności, skoro królewskiem jego stanowisko, a ewangielicznem i Bożem posłannictwo, — więc pamiętajmy o tem, aby godnie spełnić misyę poruczoną nam przez Boga.

Każdy Polak odznaczać się musi uświadomieniem i przeświadczeniem o swem posłannictwie Bożem, wyróżniać od innych narodowości nauką i pracą, dzielnością i poświęceniem, ofiarnością grosza, czasu, talentu i krwi dla poruczonej mu misyi. Jednem słowem każdy Polak musi być bohaterem.

Na niższem, czy na wyższem stanowisku; biedny czy bogaty; na roli przy warsztacie, w urzędzie — bohaterem być musisz, Polaku, bojownikiem za ideały narodowe, słowiańskie i wszechludzkie. Ciężkiem, ale szczytnem twe posłannictwo, i wielka chwała. Musisz być królem-duchem!

Taką jest twoja misya narodowa, takie posłannictwo w Słowiańszczyźnie. Taki rozkaz Boży wypisany na twojem

sercu. Musisz być dobrym patryotą, patrzącym w dal obywatelem słowiańskim, królem-duchem świata. — Żaden Polak, który stał się królem-duchem, nie umrze w grobie, lecz żyć będzie na wieki!

Jeżeli sprzeniewierzyłeś się w życiu swem temu rozkazowi nadprzyrodzonemu, przepadłeś dla »Sprawy«. Jesteś gałęzią uschłą na drzewie narodowem. — Jeżeli stałeś się samolubem, pracując dla swego awansu, dla pychy odznaczenia, dla bogactwa swej rodziny lub familii, — straconym jesteś dla »Sprawy« narodowej i Bożej. — Jeżeli usłużnikiem jesteś żydów, Niemców, Rosyan i innych narodów— straconym jesteś dla Polski!

Polak-bohater pracować musi wyłącznie dla dobra polskiego narodu, a przez to pośrednio pracuje dla dobra Słowiańszczyzny, dla szczęścia ludzkości całej, dla królestwa Bożego na ziemi. Polak król-duch w szczęściu wszystkich — własne widzi szczęście.

Polak-bohater musi być lepszym i doskonalszym od innych Słowian, od innych ludzi. Choćby się z was śmiali i szydzili, choćby wytykali wam chwilowe błędy i usterki — nie zważajcie na to, pamiętajcie o misyi narodowej i światowej, poruczonej wam przez Boga.

Rozmawiałem raz z Niemcami na ulicy Wiednia. Przeszedł mimo nas znajomy im Polak urzędnik. Uśmiechnął się jeden z nich szyderczo, mówiąc: »To także kandydat na polskiego króla«. Roześmiali się jego towarzysze.

Pyta mnie jeden z nich: »Czy to prawda, że każdy szlachcic polski mógł ubiegać się o polską koronę?« Potwierdziłem jego zapytanie i dodałem: — Dziś jednak, gdy niema państwa polskiego, dziś nie potrzeba ubiegać się o ten znak ze złotej blaszki na głowie.

Dziś każdy uświadomiony Polak, który odznacza się talentem, dzielnością i poświęceniem w pracy posłannictwa narodowego, jest bohaterem, jest królem-duchem. Królestwo nasze jest w sferach ducha. Tam pracujemy, tam królujemy, a świat musi uznać nasze królestwo ducha, choćby nie wiem jak dręczył i katował nasze ciało. Ideałów naszych nie zabije.

Chrystusa opluli żydzi, skatowali i zabili, ale duch Chrystusa panuje na świecie i coraz szersze zatacza kręgi jego panowania. Im więcej dręczą i uciskają Polaków, tem większej siły i odwagi nabierze król-duch Polaka, a zwycięstwo ostatecznie po jego będzie stronie.

Zamyślili się się Niemcy i przestali urągać przechodzącemu. Jeden z nich rzekł: »Może być, że mówisz prawdę...«

Po tem, co dotąd powiedziałem o posłannictwie Polaków wśród Słowiańszczyzny i wśród świata, sami już dacie sobie odpowiedź na pytanie, czy spełniać misyę poleconą nam od Boga i żyć, — czy też rozpłynąć się w pośród silniejszych narodów zwycięskich?...

Zwrócę wam tylko na to uwagę, że Polska nie była nigdy zwyciężoną, jako przystało na królowę słowiańskiego świata. Państwo polskie zgubiła saska rozpusta, która przez lat 80 epidemicznie grasowała w całym kraju.

»Jedz, pij i popuszczaj pasa«, — było jej dewizą. Oszołomiła ona zdrowy zmysł Polaków i narodowy instynkt, wypleniła ze serc myśl o misyi narodowej i posłannictwie światowem.

Pierwszego rozbioru Polski w roku 1772 dokonano bez wystrzału, jakby na organizmie znarkotyzowanym i znieczulonym chloroformem lub kokainą. Zapewniono szlachtę, że będzie mogła dalej hulać po sasku, i płacić nie będzie na wojsko podatku, bo caryca, król pruski i cesarz austryacki utrzymywać będą w zabranych prowincyach swoje wojska... Pod Maciejowicami zaś w roku 1794 Kościuszko nie dowodził przecież wojskami całego państwa polskiego, tam była zaledwo garstka uświadomionych bohaterów...

Wrodzy nasi nie byli więc zwycięzcami, ani byli od nas silniejsi. Byli chytrymi tylko i wiedząc, że nas orężem nie zmogą przenigdy użyli podstępu, truli nas systematycznie latami całymi, i ujarzmili, gdyśmy popadli w niemoc chorobliwą i otrętwienie ducha. Nie możemy więc przed nimi pochylić czoła i uznać ich nad nami wyższości; nie nie możemy kapitulować i rozpływać się wśród zaborców, dlatego że osiągnęli przebiegłością — materyalną nad nami przewagę.

Nie masz państwa polskiego, ale jest naród polski, który uświadamia się i wydaje coraz więcej bohaterów pracy i poświęcenia, coraz liczniejszy zastęp hetmanów duchowych i królów-duchów.

Pracują oni w myśl programu Mickiewicza: — budzą w ludziach uczucia wielkich rzeczy, popychają ich do wielkich i wzniosłych czynów, i podnoszą ich ku Bogu. To jedyny sposób pracowania dla szczęścia narodu, dla szczęścia Słowiańszczyzny, dla szczęścia ludzkości...!

Bóg uczynił Polskę »Panią narodów», pamiętajmy o tem dobrze i pracujmy wszyscy usilnie, aby utrzymać się na tej wyżynie.

Do nas należy Słowiańszczyzna, do nas świat cały. Długa przed nami droga, ciężka praca, ale cel wspaniały i nagroda nieskończona.

Niechże więc każdy z nas, pamiętając o misyi Bożej, stanie się apostołem i bohaterem. Łączmy swe siły do wspólnej pracy, przebaczajmy sobie urazy, porzućmy osobiste sympatye i antypatye, i uczmy się od wrogów sposobów i środków, jak dojść do naszego celu.

A że dla każdej pracy duchowej potrzebną jest materyalna podstawa, więc bądźmy wstrzemięźliwi i oszczędzajmy; starajmy się podwoić bogactwo narodowe, odzyskać ziemię na wsi i kamienice w miastach z rąk obcych. Polska musi być wyłącznie własnością Polaków! To nasze hasło, to podstawa do odrodzenia, i fundament do skutecznej działalności, jeżeli mamy spełniać posłannictwo powierzone nam przez Boga.

Koniec udręczeniom naszym! Niech powstanie człowiek nowy, człowiek czynu. Polak-bohater, który kładzie kamienie węgielne pod mury świątyni przyszłości. Precz z krytyką, precz z półśrodkami, precz z kompromisami, precz z niewiarą we własne siły. Moc ducha zerwie się, gdy zrozumiemy posłannictwo nasze. Chcemy żyć i pracować wytrwale, pracować celowo...

Umysły pobożne, które chcą pracować dla Chrystusa i dla królestwa Bożego na ziemi — niech wiedzą, że droga tam wiedzie przez pracę dla narodu.

Umysły wyższe, które pracować chcą dla idełów kosmopolitycznych i wszechludzkich, niech wiedzą, że jedyna droga prowadzi tam przez narodową pracę.

Umysły szlachetne, które pracować chcą dla Słowiańszczyzny, niech wiedzą o tem, że droga tam prowadzi najpierw przez pracę dla narodu.

Umysły samolubne, które nie chcą pracować dla narodu, — stracone są dla Boga i dla ludzi.

Oto jasny cel stoi przed nami. Nie błąkajmy się więc, nie rozpraszajmy sił, lecz idźmy naprzód ze świadomością, wiedząc, dokąd idziemy i co musimy osiągnąć.

Pracując dla narodu, pracujemy dla Słowiańszczyzny, pracujemy dla ludzkości całej.

Zapowiedziane przez Chrystusa Królestwo Boże przyjdzie na ten świat przez Polaków i przez Słowiańszczyznę.

A więc do dzieła!

SARAI.

Sarai z Kafarnaum była córką Jonasza, właściciela łodzi, a siostrą Szymona i Andrzeja.

Jonasz żył w przyjaźni z sąsiadem swoim, rybakiem Zebedeuszem, mężem Salomy, a ojcem Jakóba i Jana.

Sarai była dziewczyną piękną i wrażliwą. Za lat dziecinnych bawiła się często nad brzegiem jeziora z Janem, który był z natury cichy i oblicze miał łagodne. Podrósłszy, przychodziła codziennie do poczciwej Salomy i razem z nią zajmowała się naprawianiem sieci, albo szat swoich braci.

Gdy doszła do lat siedmnastu, poznała, iż kocha Jana, syna Zebedeusza i Salomy; a że obchodził się z nią przyjaźnie, sądziła, że kocha ją także i że wkrótce zapragnie jej w małżeństwo.

Wówczas to zaczynano mówić w krainie o młodym proroku, który chodził po Galilei, oznajmiając Królestwo Boże.

»Tedy — wedle słów Ewangelii — gdy Jezus szedł wzdłuż morza Galilejskiego, spostrzegł dwóch braci Szy-

mona i Andrzeja, zarzucających sieci w wodę. I rzekł do nich: »Pójdźcie za mną, a uczynię was poławiaczami ludzi«. I porzucili natychmiast swe sieci i poszli za nim. Idąc dalej, zobaczył drugich dwóch braci, Jakóba i Jana, którzy siedzieli w łodzi z ojcem swym Zebedeuszem i naprawiali sieci. Przywołał ich i natychmiast opuścili łódź i ojca i poszli za nim«.

Wróciwszy do domu wieczorem, opowiedział Zebedeusz żonie, co się zdarzyło. Dodał nadto, że, gdy Jezus mówił, nikt nie mógł mu się oprzeć. Sarai była przytem; nie śmiała nic powiedzieć, bo Jan nie był z nią wcale zmówiony; ale gdy została sama, płakała gorżko.

*
* *

W dwa tygodnie potem Jan i jego towarzysze wrócili do domu. Przyprowadzili z sobą także Jezusa.

Jezus mówił, a Zebedeusz i Salome uwierzyli w niego. I wszystkich ogarnęła niewypowiedziana błogość. Jeno Sarai nie była wcale wzruszoną, pamiętając, że ten prorok zabrał jej tego, którego kochała.

Jan był dobrym dla niej, jak dawniej, ale nie zauważył ani jej bladości, ani smutku w jej oczach.

Na cześć Jezusa była u Zebedeusza wieczerza, na którą zaproszono sąsiadów.

Sarai pomagała Salomie w usługiwaniu biesiadującym. Widziała, że Jan był szczególniejszym przyjacielem proroka i zrozumiała, że niechybnie nigdy do niej należeć nie będzie. Drżała też tak silnie, że wypuściła misę, która rozbiła się w drobne kawałki. Jezus wstawił się za nią, by jej nie czyniono wyrzutów. Ale ona nie śmiała mu nawet podziękować.

Tego samego dnia Jezus wyszukał ją w ustronnej izbie, gdzie myła naczynia. I rzekł do niej: »Córko moja, czemu zasmuconą jesteś w swem sercu?« Ale ona uciekła, nie spojrzawszy na Niego i nie odpowiedziawszy ni słowa.

*
* *

Jan pozostał przez kilka tygodni w Kafarnaum i trudnił się przez ten czas rybactwem, by zebrać trochę pieniędzy na nową podróż.

Sarai przychodziła szyć codziennie do Salomy. Była tak smutna, że stara spostrzegła to nareszcie i rzekła do niej: »Jak możesz się tak smucić, gdy znasz dobrą nowinę i wierzysz w przyjście królestwa Bożego?

A dziewczyna myślała: »Moje królestwo Boże było wtedy, gdy Jan mnie kochał; a moją dobrą nowiną byłoby czułe słowo z jego ust«.

W dniu, w którym Jan wyruszał, by znów się połączyć z Jezusem, nie mogła już dłużej ukryć swego nieszczęścia. Pobiegła za Janem i dopadła go w porcie. »Janie, zawołała — błagam cię, nie odchodź!« I uczepiła się jego szaty; ale on czerwony z gniewu i ze wstydu odepchnął ją na bruk. Przechodnie zaczęli z niej szydzić; dzieci biegły za nią, wykrzykując drwiąco; i wróciła do ojca, łkając rozpaczliwie.

Odtąd nie śmiała już pójść do sąsiadki Salomy. Siedziała w domu przy ojcu złożonym niemocą. Bracia, gdy byli w domu, patrzyli na nią z niechętnem politowaniem. i niekiedy mówili sobie:

— Musiał ją opętać jakiś zły duch.

* * *

...Pewnego dnia przybył Jezus do Kafarnaum, by zażyć spoczynku. Były z Nim tym razem oddane niewiasty galilejskie: Joanna, Zuzanna, Marya, Kleofas i Marya z Magdali. Sarai wiedziała coś niecoś kim była Magdalena i myślała: »Ta będzie może znała lekarstwo na mój ból«.

Ułożyła więc tak, by się z nią spotkać sam na sam, zwierzyła jej swoją niedolę i rzekła:

— Ratuj mnie, ty, któraś tyle kochała!

— Czy ja kochałam? — rzekła Marya z Magdali. — Tego już nie wiem. Ale to wiem, że wszystkie me żądze, gdym je zaspokoiła, obracały się w gorycz i zostawiały mi tylko popiół w moich ustach.

— Przynajmniej — rzekła Sarai — mogłaś je zaspokoić. Chciałybym poznać tę gorycz i zakosztować tego popiołu.

— Biedne dziecię! — rzekła Marya. — Ja znalazłam jedyną miłość, która nie zawodzi. Kochaj tak, jak ja, Syna Bożego, Tego, który ma słowa wiecznego życia.

— Nie 'nawidzę Go — odpowiedziała Sarai — bo przez Niego to cierpię dlatego nie wierzę w Jego słowa.

Szukała potem porady u starej Egipcyanki; piła napoje czarodziejskie; odmawiała formuły magiczne; lecz nic nie mogło uspokoić jej cierpienia; we dnie i w nocy obraz Jana męczył ją pragnieniem, które wysuszało jej ciało i zatruwało krew.

* * *

Gdy przyszedł czas Paschy, postanowiła iść z krewnymi do Jerozolimy, oddalonej tylko o dwa dni drogi Matka pochwaliła to pobożne przedsięwzięcie, spodziewając się, że może przyniesie córce ulgę; ale Sarai chciała tylko zobaczyć znowu Jana.

W gospodzie, gdzie stanęli, dowiedzieli się uwięzieniu Jezusa i o wyroku na Niego.

...Jan i Marya Matka Jezusa, Joanna i Zuzanna, Marya, Kleofas, Weronika i Marya z Magdali szły za skazanym tak blisko, jak tylko dopuścił oddział żołnierzy rzymskich. Sarai przyłączyła się do niewiast galilejskich. Widok cierpienia Jana przejmował ję wstrętem: ale mówiła sobie, że po śmierci Mistrza, Jan przypomni sobie może z czasem o swej miłości dla niej.

Pierwszy gwóźdź przebił rękę skazanego, rozdzierając żyły; krew trysnęła, a całe ciało podniosło się i wyprężyło. Ale, że Jezus nie krzyknął nawet, Sarai nie czuła litości.

Podniesiono krzyż; widniały nad nim tylko cztery ogromne, krwawe plamy. Jęki rozpaczy kobiet nie ustawały ani na chwilę, panując nad zgiełkiem świątkujących tłumów. Sarai, nieruchoma, patrzyła na to, co się działo wokół niej, jak gdyby nie na rzeczywistość; i zdawało jej się, że to ona umiera i że tymi jękami jej serce zawodzi nad nią samą.

Potem, skoro Jezus przemówił, skoro rzekł do Jana i do Maryi: »Oto matka Twoja, oto Syn Twój«, zrozumiała, że dla niej skończyło się wszystko; i w osłupieniu liczyła bezwiednie czarne krople, ściekające powoli z nóg Jezusa, — później liczby wyryte na kościach, którymi żołnierze rzucali bez ustanku, siedząc na ziemi.

Ale, gdy ukrzyżowany w chwili słabości zawołał: »Ojcze mój, czemuś mnie opuścił?«, uczuła naraz straszliwą ulgę i pierwszy odruch współczucia, myśląc: »Ten także umiera w rozpaczy«.

A skoro w tej samej chwili płacz kobiet wzrósł, a Marya, Matka Jezusa, osunęła się w omdleniu na ręce towarzyszek, Sarai pomyślała po raz pierwszy: »Może przecież są cierpienia większe, niż moje«.

...Tymczasem ukrzyżowany, ocknąwszy się z omdlenia, wielkim wysiłkiem podniósł trochę głowę obwisłą: zobaczył swoich katów, rzucających kości o jego biednę szatę; zobaczył dalej na spadzistości góry tłumy rozbawione, zaślepione i zawzięte i rzekł: »Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią«.

Wtedy Sarai uległa. Objawienie innej miłości przeniknęło ją, jak błyskawica i powaliło na ziemię. Wstrząsnęła nią taka boleść, że serce jej pękło. Ale nie do Jana, lecz do Jezusa uleciało jej ostatnie, słabe westchnienie.

Przygody srebrnego guldena.

Urodziłem się w stolicy kraju. Mennicą zwą dom w którym na świat przyszedłem. Roku urodzenia już nie pamiętam, gdyż od tego czasu upłynęło już wiele lat, a data, jaką na mnie wybito, stała się już nieczytelna, jak również zniknął już prawie całkiem obraz cesarza, który na sobie nosiłem.

Przed laty, kiedy się narodziłem, błyszczałem i lśniłem w mojej nowej szacie. Wraz z kilkunastu towarzyszami zostałem pewnego dnia zabrany ze starego domu, w którem przebywaliśmy zamknięci w żelaznej szafie. Służący bankowy zaniósł nas wszystkich do banku. Ten przyjął nas, lecz nie na długo.

Pewnego dnia wyrzucono nas okienkiem na duży talerz. Zanim miałem czas pożegnać się z mymi kolegami, wydano mnie wraz z dużym kawałkiem papieru, który potem poznałem, jako banknot, jakiemuś elegancko ubranemu panu, który wziął nas z wielką radością.

Z tą chwilą rozpoczęła się moja wędrówka, pełna przygód i doświadczeń. O! bodaj nie byłbym się rodził! Bezsilnie musiałem patrzeć na to, jak mną frymarczono.

Mój nowy pan wsadził mnie do małej kieszonki, ludzie nazywają to pugilaresem. Byłem tam sam. Poszedł z banku do jakiegoś domu, gdzie było wielu młodych ludzi, nazywano ich »lepszem towarzystwem«. Były tam także pięknie ubrane panie. Słyszałem tam rzeczy, od których byłbym się musiał ciągle rumienić, gdybym był tylko mógł. Ale niestety: byłem tylko srebrnym guldenem.

Było już dobrze po północy, kiedy mój pan wstał, chwiejąc się na nogach od stołu, dobył mnie z pugilaresu i podarował wraz z banknotem jakiejś damie o malowanej twarzy, — widziałem to dobrze przy świetle — bardzo wyperfumowanej. Ta zamknęła nas w eleganckiej kasetce.

Nie długo w niej jednak popasałem. Już na drugi dzień rano powędrowałem, jako zapłata za rachunek do sklepu modniarki, a wieczór dostałem się do rąk biednej, wybladłej dziewczyny. Byłem jej »zarobkiem« za ciężką pracę. Dostałem się do ubogiej izdebki, gdzie żyła stareńka, posiwiała matka i jeszcze dwoje wychudłych dzieci. Tutaj naprawdę dopiero zaczęto oceniać mą wartość. Wszyscy długo radzili nad tem, coby za mnie można kupić, a ja życzyłem sobie tylko, aby mieć obok siebie moją niebieską koleżankę z dnia ubiegłego. Taby mogła była wiele więcej pomódz, niż ja. Wreszcie podzielono mnie na wiele części, kupiono chleba i słoniny. Miałem wystarczyć na całe pół tygodnia. Jakżeż chętnie byłbym mą wartość podwoił!

W czasie dalszej mej podróży po świecie przeszedłem różne koleje. Raz jednak tylko zaznałem uczucia prawdziwej radości. Było to na Boże Narodzenie. Młody robotnik, wystarczyło spojrzeć na jego ręce, aby o tem się przekonać, — zawiózł mnie raz z całą masą innych zaoszczędzonych kolegów swoim starym rodzicom. Jak ci się cieszyli! Po raz pierwszy wtedy widziałem łzy radości i sam szczerze się cieszyłem.

Innym znów razem dostałem się w ręce ogromnego łajdaka. Mnie i jeszcze z tuzin moich braci otrzymał on od swego majstra w dniu wypłaty i zaraz prosto z warsztatu poszedł do zadymionego szynku, gdzie zasiadł do

gry z kilkoma ordynarnymi towarzyszami. Padały straszne przekleństwa. Osłupiałymi oczyma wpatrywał się mój właściciel w pustą portmonetkę, kiedy rano po przegranej nocy ja mu tylko pozostałem. Drżącą ręką sięgał i po mnie, gdyż wszystko przegrał, Ale wstrzymał się i z głuchem przekleństwem opuścił szynk. Sceny, jakiej potem byłem świadkiem nigdy nie zapomnę. Na brzegu łóżka siedziała płacząca kobieta, a w koło niej kilkoro dzieci, które swem narzekaniem powiększały jeszcze boleść matki. Nigdy nie zniknie z mej pamięci spojrzenie jakiem powitała kobieta wchodzącego mego posiadacza. Z ordynarnem przekleństwem sięgnął on po mnie i rzucił jej pod nogi. Potem chwycił za czapkę i wypadł z mieszkania. Czegoś podobnego na szczęście drugi raz nie widziałem.

Dostałem się wreszcie w ręce skąpca, który długie lata wraz z wieloma innymi kolegami trzymał mnie w uwięzi, licząc nas tylko czasem przy świetle lampki oliwnej. Wszystkim opowiadał on, że jest bardzo biedny, a żebraków to od drzwi odpędzał. Miał bardzo nielitościwe serce. Musiał się jednak ktoś o naszej niedoli dowiedzieć, gdyż raz w czasie nieobecności skąpca zabrano nas wszystkich. Skąpiec podobno potem zwaryował, jak słyszałem... — z rozpaczy, a ludzie powiadali, że skąpstwo to jest wielka wada.

Wszyscy utrzymują, że przed laty miałem większą wartość i że dzisiaj już nie na wiele się przydam. To z pewnością jest też powodem, że chcą mnie z obiegu wycofać, jako starego grata. Słyszałem ja co prawda, że tak się robi także i ze starymi ludźmi, ale ja uważam to za złe. Przynajmniej mam jedno zadośćuczynienie. O mojej następczyni, którą »koroną« nazywają, nie bardzo pochlebnie ludzie się wyrażają, mimo, iż jest ona dosyć jeszcze młoda. Słyszałem już, jak nieraz skarżono się, że nawet uczciwego śniadania za nią nie dostanie. A przecież kiedy ja byłem w tym wieku, można było cały dzień bardzo wygodnie żyć moją wartością. Słyszałem nieraz, jak mnie chwalono i zapewniano, że nie ma lepszej rzeczy na świecie. Miano pewnie wtedy koronę na myśli. Ostatecznie ich dwie może dopiero starczyć za mnie jednego. A one mimo to, drą nosa do góry.

Ostatecznie ustępuję z życia bardzo chętnie zwłaszcza po ostatnim skandalu, w jaki byłem mimowoli wmieszany. W pewnem starem mieście nadużyto mojej uczciwości, gdyż użyto mnie do przekupstw wyborczych. Podczas, gdy przedtem u ludzi ubogich odpoczywałem sobie zazwyczaj spokojnie czas dłuższy, w ostatnich tygodniach włóczono mnie ze zgromadzenia na zgromadzenie, — ludzie nazywają to politykowaniem, — a tak wymyślali sobie nawzajem ci panowie, że słuchając ich nabrałem ostatecznie przekonania, że na świecie nie ma ludzi dobrych, ale tylko ludzie źli i błaźni. Ja zaś padałem ofiarą ich złości i musiałem nieraz dziesięć razy w jednym dniu zmieniać właściciela. Po tych przejściach usuwam się z życia bardzo chętnie i bez niechęci.

* * *

Na tem urywają się zapiski starego guldena. Ileż rzeczy możnaby się z nich nauczyć?!

W kraju umarłych.

We Francyi karą dla wielkich zbrodniarzy jest albo gilotyna, która w jednej sekundzie odcina głowy przestępcom, albo czasem zamieniają im karę śmierci na dożywotnie ciężkie roboty w Guajanie (w środkowej Ameryce) lub w Nowej Kaledonii (wyspy opodal Australii), które słusznie nazwane być mogą Syberyą francuską.

Już sam przewóz okrętami na miejsce zesłania daje zesłańcom przedsmak tego, co ich czeka później. Skazańcy przewożeni są w klatkach żelaznych, jak dzikie zwierzęta. Przed wyruszeniem okrętu na pełne morze uprzedzeni zostają, że w klatkach znajdują się rury z gorącą parą, które otwierane są w razie najmniejszej próby buntu i prażą strasznym żarem nieposłusznych; po przybyciu na miejsce, skazańcy rozmieszczeni zostają w mieszkaniach swoich, pustych i smutnych, jak wszystko dokoła, mieszkania owe opuszczać im wolno tylko wówczas, gdy idą do pracy.

Zaraz po przybyciu dokonywane są pomiary każdego zesłańca przy pomocy systemu Bertillona, ażeby w razie

ucieczki rozpoznać było można zbrodniarza. Środek to jednak zbyteczny. Ci, co tu przybyli, bardzo rychło przekonują się, że ucieczka stąd jest niemożliwa. Marzenie o odzyskaniu wolności nie opuszcza ich wprawdzie do śmierci, najśmielsi jednak zdają sobie sprawę z bezowocności wszelkiej próby ucieczki. Jakże tu bowiem pod okiem dzień i noc czuwających dozorców zbudować sobie łódź, jak przez burzliwe i rekinami na każdym kroku grożące morze dostać się na łodzi tej do przepływającego okrętu?

W roku 1905 we francuskich koloniach karnych było 26.771 zesłańców; 9.614 w Guajanie i 7.257 w Nowej Kaledonii. Od pewnego czasu Nowa Kaledonia nie otrzymuje już nowych zesłańców. Koszt utrzymania zesłańców tych wyniósł w 1905 roku 5,757.000 franków, co stanowi 600 franków na jednego.

Guajana składa się z trzech wysp, między niemi wsławiona pobytem głośnego żydka Dreyfusa »Wyspa Dyabelska«. Wybrzeża są płaskie i nudne, roślinności na nich bardzo niewiele. Środek wyspy zajmują lasy dziewicze i ziejące wszelkiego rodzaju chorobami bagna. Nie brak tu, oczywiście, także i pól uprawnych; praca ludzka dużo zdziałać może, więc i tu nieurodzajne przestrzenie zmieniła w ziemię, plon bodaj skromny niosącą. Użyźnił je pot i kości zesłańców.

Na skazańca, pracującego w pocie czoła, czyha tu na każdym kroku śmierć. Miliony moksitów (much i komarów) roznoszą zarazę, każde stąpnięcie grozi ukąszeniem żmii jadowitej, wyziewy z bagien sprowadzają żółtą febrę, która wraz z biegunką dziesiątkuje zesłańców. Na tysiąc zesłańców umiera w Guajanie 109 rocznie. Obojętnie też jest im, czy skazani zostali na 10 lat, czy na życie całe, bo śmierć, tak czy owak, przyjdzie przed uzyskaniem wolności.

Szpital nie przeraża ich, bo tam w każdym razie lepiej, niż przy pracy w bagniskach lub kamieniołomach. Był nawet czas, że ażeby dostać się do szpitala, przyprawili się dobrowolnie o kalectwo: wykłówywali sobie oczy, ucinali rękę lub nogę. Ażeby kres temu położyć, zarząd wyspy umieszczał takich dobrowolnych kaleków w zamkniętem miejscu, gdzie nosić musieli ciężkie worki z kamieniami — wszyscy, ślepi, kulawi, pozbawieni ręki. Przed dwudziestu laty środka tego zaniechano.

W takich warunkach żyją tu zbrodniarze; zasada sprawiedliwości wymaga, żeby za zbrodnie odpokutowali i jeżeli pokuta jest ciężką, to dlatego, że i zbrodnia była ciężka. Za cóż jednak pokutują dozorcy zesłańców, którzy żyją tu we warunkach jeszcze gorszych? Bo nietylko, że oddychają tem samem trującem powietrzem, ale żyć muszą w ciągłej obawie przed zbrodniczemi zamachami powierzonych opiece swojej skazańców. Więc za co cierpią gorzej nawet od owych »umarłych dla świata?«...

KINEMATOGRAF.

Jednym z najbardziej rozpowszechnionych wynalazków nowoczesnych stał się w ostatkich kilku latach — kinematograf. Każde prawie większe miasto posiada dzisiaj albo miejscowe przedsiębiorstwo kinematograficzne, albo też raz po raz w przejeździe różni przedsiębiorcy dają przedstawienia. Starzy i młodzież chętnie spieszą oglądać piękne obrazki lub wesołe historye, które przed oczyma widza się przesuwają. Jako zdjęcia robione z natury tem bardziej są takie przedstawienia ciekawe, a często i pouczające.

Niejeden z nas, patrząc na te szybko przed jego oczyma przewijające się obrazy, nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, jak wielkie zastosowanie znalazł ten wynalazek i jak rozległe jest jego pole działania. Postaramy się w kilku słowach sprawę wyjaśnić.

Co do samego aparatu kinematograficznego to zauważyć należy, że jest udoskonaloną latarnią magiczną. Za pomocą doskonałego aparatu fotograficznego robi się tysiące zdjęć fotograficznych tak zwanych momentowych, czyli bardzo szybko po sobie następujących, które utrwalają się na długim pasku z żelatyny powleczonej z jednej strony masą czułą bardzo na światło. Pasek taki nazywa się filmem. Kiedy dany przedmiot lub okolica, albo też jakaś wesoła historya w ten sposób już jest odfotografowana, po przeprowadzeniu różnych fotograficznych zabiegów wytwarza się drugi film, który właśnie pokazuje się w kinematografie. Aparat kinematograficzny ma bowiem przyrząd zegarowy

albo też elektryczny, który tak szybko przesuwa film w aparacie, iż patrzącym wydaje się, że osoby lub przedmioty, których fotografie na płótnie widzą, poruszają się, mówią i t. d.

Jak wiele jest tych poszczególnych fotografii na jednym takim filmie, pokazuje nam następujące obliczenie. Przeciętnie film kinematograficzny przedstawiający jakąś wesołą historyjkę ma 160 metrów długości. Na przestrzeni zaś jednego metra wypada 52 zdjęć fotograficznych, czyli, że dla przedstawienia jednego zwykłego numeru programu trzeba aż 8.320 zdjęć fotograficznych. Jeśli teraz obliczymy, że przedstawienie w teatrze kinematograficznym trwa około 1 i pół godziny, to po obliczeniu przerw wypadnie, iż przez apararat kinematografu przewija się około 1.500 metrów różnych filmów. Na tych filmach zaś znajduje się zazwyczaj przeszło 80 tysięcy zdjęć fotograficznych.

Obliczenia te przekonują nas, jak wiele pracy potrzeba, aby przygotować zwykle jedno przedstawienie kinematografu.

Przemysł kinematograficzny rozwinął się dzisiaj już ogromnie. Według obliczeń statystycznych istnieje obecnie na kuli ziemskiej w krajach cywilizowanych przeszło 20 tysięcy teatrów stałych kinematograficznych. Liczby tej na same Stany Zjednoczone Ameryki przypada około 10 tysięcy teatrzyków. Aby teatrzyki te zaopatrzyć w filmy pracuje przeszło sto fabryk. Niektóre z nich tak już rozwinęły swą produkcyę, że wyrabiają dziennie po 500 tysięcy metrów.

Kapitał, jaki w te przedsiębiorstwa włożono wynosi już kilkaset milionów koron. W samej północnej Ameryce fabryki filmów posiadają przeszło 200 milionów koron kapitału zakładowego. Rzecz prosta, że w przemyśle tym znajduje zajęcie w fabrykach przeszło sto tysięcy ludzi.

Ciekawą rzeczą jest jeszcze zbadać, ilu ludzi mniej więcej widzi jeden film. Według przyjętego zwyczaju każdy obrazek robi się w 45 egzemplarzach i równocześnie 45 teatrów rozpoczyna pokazywać to samo zdjęcie. Ponieważ zaś każdy film może być używany przez 20 tygodni, znaczy to, że pokazuje się go przez 140 dni. Teatr kinematograficzny, który jako tako jest prowadzony, ma dziennie około 450 widzów. Tem samem więc jeden obrazek ogląda dziennie 450 ludzi w 45 teatrach przez 140 dni. Z rachunku wypada,

że jeden film kinematograficzny widzi przeciętnie dwa i pół miliona osób.

Jeśli w ten sposób dopiero zestawimy te olbrzymie cyfry, widzimy, jakie rozpowszechnienie zyskał ten wynalazek, który dopiero od 17-tu lat jest w użyciu.

O ile chodzi o znaczenie kinematografu pod względem społecznym i naukowym, to stwierdzić trzeba, że jest ono bardzo duże. Zwłaszcza dla celów naukowych kinematograf ma wielkie znaczenie, przyczynia się bowiem do popularyzowania wiedzy i jej odkryć.

W ostatnich czasach jednak szereg fabryk wyrabiających filmy, czyli obrazki dla kinematografów, puścił się chcąc dogodzić niewybrednym gustom ludzkim, na fabrykowanie różnych »sensacyjnych« kradzieży, zbrodni i t. d. Ma się rozumieć, że tego rodzaju przedstawienia są złe i demoralizujące i należy wszędzie, gdzie stosunki na to pozwalają nie dopuszczać do tego, aby naszą młodzież karmiono takimi sensacyjnemi awanturami.

Jeśli jednak teatr kinematograficzny daje przestawienia z obrazkami rozumnie dobranymi, stanowić on może bardzo miłą rozrywkę.

Ruch wychodźczy z Galicyi wschodniej.

Gazeta Lwowska podaje na podstawie dokładnych urzędowych obliczeń wykaz liczebny emigrantów, którzy w miesiącu marcu bież. roku przejechali przez Lwów w celu udania się na roboty do Prus lub do Ameryki, zestawiony wedle poszczególnych powiatów:

Powiat	Liczba osób z powiatu udających się do Prus	do Ameryki
Bóbrka	109	68
Bohorodczany	55	—
Borszczów	221	148
Brody	688	102
Brzeżany	371	56
Buczacz	576	90
Do przeniesienia	2.020	464

Z przeniesienia	2.020	464
Czortków	148	173
Dolina	—	5
Horodenka	139	164
Husiatyn	333	360
Kałusz	110	84
Kamionka	376	21
Kołomyja	213	68
Kosów	30	5
Lwów	37	—
Nadwórna	244	25
Peczeniżyn	15	—
Podhajce	285	30
Przemyślany	155	36
Radziechów	356	10
Rawa ruska	20	—
Rohatyn	679	100
Rudki	55	—
Skałat	436	119
Śniatyn	209	53
Sokal	48	—
Stanisławów	294	46
Tarnopol	829	167
Tłumacz	679	79
Trembowla	491	148
Zaleszczyki	159	162
Zbaraż	463	77
Zborów	595	46
Złoczów	601	38
Żółkiew	117	16
Żydaczów	191	13
Razem	10.331	2.509.

W czasie od 1-go stycznia do 31-go marca 1912 r. zniewolono do powrotu następującą liczbę emigrantów, którzy przejeżdżali przez Lwów w zamiarze udania się do Ameryki, a byli w wieku pełnienia obowiązkow służby wojskowej i nie mieli dokumentów: z powiatu: Bóbrka 2 osoby, Bohorodczany 2, Borszczów 30, Brody 8, Brzeżany 10, Buczacz 24, Czortków 6, Dolina 1, Horodenka 6, Husiatyn 23, Kałusz 4, Kamionka 5, Kosów 1, Lwów

4, Nadwórna 2, Podhajce 7, Przemyślany 5, Rohatyn 23, Radziechów 15, Skałat 14, Śniatyn 1, Sokal 1, Stanisławów 24, Tarnopol 8, Tłumacz 22, Trembowla 18, Zaleszczyki 3, Zbaraż 2, Zborów, 6, Zło czów 14, Żółkiew 15, Żydaczów 1; razem 373 osób.

Raj amerykański.

Jeden z księży węgierskich, ks. hr. Bay odbył w roku zeszłym podróż za morze razem z 2.400 wychodźcami węgierskiemi na okręcie „Panonia“ celem zbadania na miejscu amerykańskiego raju, dla którego co roku tysiące jego rodaków opuszczają ziemię ojczystą.

To, co tam w Ameryce widział naocznie ks. Bay i słyszał, spisał teraz w obszernej książce, której dał tytuł: „Do Ameryki na statku wychodźczym. — Wewnętrzne życie Stanów Zjednoczonych“.

Z książki tej wyjmujemy niektóre ustępy, mogące zainteresować naszych Czytelników.

Niektóre opisy kreślone przez ks. Baya są wprost rozpaczliwe, straszne. „Panowie za morzem“ — pisze ks. Bay — „wyzyskują siły przychodźców do ostatniego tchnienia, dla zdobycia dla nich, dla bogaczów amerykańskich wprost szalonych bogactw, pracują przychodźcy europejscy gorzej i ciężej aniżeli nasze zwierzęta domowe.

Przybysze z Austryi i Węgier udają się przeważnie do Pittsburga — owego środowiska amerykańskiego przemysłu żelaznego i stalowego, gdzie istnieją liczne kolonie rodaków. Gdzie okiem sięgnąć, na wielkiej przestrzeni widnieją tylko buchające ogniem, dymem i sadzą kominy, dokoła znajdują się tylko gisernie i huty, w których rozlega się dokoła ogłuszający huk maszyn — mechanicznych młotów, syk pary — atmosferę napełnia sadza, popiół i całe morze iskier — jak z buchającego lawą krateru.

Podobnie jak bóstwa pogańskie, pochłaniają i niemiłosierne stalownie i huty żelazne codziennie ofiary ludzkie. Niema godziny, w którejby nie zdarzyło się ja-

kie nieszczęście. Na miejsce okaleczonych lub zmarłych przybędą dziesiątki innych czekających przed bramą na pracę.

I niema tu przerwy w pracy, która trwa nieustannie, dniem i nocą. Wszystko dokoła nosi piętno ponure; czarną jest ziemia, gęste czarne powietrze, niebo nawet takąż barwę przybrało; nigdzie ani śladu trawki, drzewa lub jakiej rośliny Zatrutem jest wprost powietrze, a żar tak wielki, że człowiek zaledwie kilkanaście minut wytrzymać może; to też robotnicy luzują się co 15 minut, a i w tym krótkim czasie pokrywa się ich ciało potem, a w płucach dech im zapiera.

Przybywszy tutaj z pięknych dolin karpackich za chlebem, zmuszonym jest biedny Słowak poddać się przemożnej mocy żelaznego trustu, który dyktuje mu warunki. Zwiedzając te „więzienia przemysłowe", jak je ks. Bay nazywa, możemy być pewni, że gdzie żar największy, robota najcięższa, powietrze najbardziej duszne, tam napewno napotkamy Słowaków, spełniających ową niewolniczą pracę.

Ludzkiego życia tu się nie ceni, gdyż nieustannie nowe siły robocze, nowi rekruci, na miejsce ustępujących zaciągają się do służby kapitałowi amerykańskiemu.

Pewien kowal pochodzący z Węgier opowiedział ks. Bayowi następujące zdarzenie prawdziwe:

Kilku robotników miało naprawiać uszkodzony kocioł żelazny i wtedy zwrócili uwagę nadzorcy na to, że niektóre części kotła są zardzewiałe, i przepowiedzieli nieszczęście na wypadek, gdyby ich nie usunięto. W odpowiedzi na to rzekł im nadzorca:

— Okręty przywiozą nowych ludzi pod dostatkiem!

Po tygodniu spełniła się przepowiednia robotników, kocioł pękł i wiele ludzi postradało swe życie.

Podobnych uwag, spostrzeżeń i obrazów znajduje się w książce bardzo wiele — wszystkie są bardzo charakterystyczne i zasługują na uwagę ogółu.

Postęp katolicyzmu w świetle statystyki.

Z dzieła uczonego włoskiego A. M. Stradelli'ego, który z największą skrupulatnością badał rozwój katolicyzmu na całym świecie w ciągu ostatnich 100 lat, dowiadujemy się, że religia katolicka mimo wszelkiej trudności, z jakiemi się właśnie w ciągu ubiegłego stulecia spotykała, stale się rozwijała i coraz liczniejszych znajdowała wyznawców.

Następujące liczby niechaj służą za dowód.

W ostatnich 100 latach wzrosła liczba katolików:

w Anglii z 120.000 do 2,180.000,

w Niemczech z 6 milionów do 20,341.441,

w Szwajcaryi z 420.000 do 1,300.000,

w Rumunii z 16 tysięcy do 150 tysięcy,

w Bośnii i Hercegowinie z 25 tysięcy do 398 tysięcy,

w Bułgaryi z 1.300 do 28.000,

w Serbii z 6 tysięcy do 20 tysięcy,

w Grecyi z 15 tysięcy do 44 tysięcy.

w Rosyi było w ciągu czterech lat (1905 do 1909) 230 tysięcy nawróceń,

w Turcyi europejskiej było w ciągu mniej więcej takiego samego peryodu 24,855 nawróceń,

w Afryce jest teraz 850 tysięcy katolików, na początku zaś wieku XIX. było ich kilkadziesiąt tysięcy.

Podobną liczbę posiadała Azya około roku 1800, teraz zaś jest tam 4,600.000 katolików,

w Stanach Zjednoczonych wzrosła liczba katolików z 40 tysięcy do 22,587.079,

w Kanadzie z 160 tysięcy do 2,250.000,

w Ameryce południowej jest dzisiaj 40 milionów katolików,

w Australii, której katolików można było policzyć na palcach w rogu 1800, jest teraz 1,600.000.

Pożyteczna instytucya.

Jedno z niemieckich państw związkowych, mianowicie Wirtembergia posiada „Domy robocze dla robotników podróżnych nie mających pracy“.

O takim domu w Rawensburgu, w Górnej Szwabii pisały niedawno *Blätter für das Armenwesen* (Nr. 17 zeszłego roku), co następuje: „Gdyby tego domu tutaj nie było, to większość robotników podróżnych, nie mających pracy, wogóle wszyscy, którym się pracować nie nie chce, użebraliby sobie potrzebne pieniądze, przez coby tysiące marek mieszkańcom odjęto, a z tych wieksza część wydana byłaby zupełnie bezkorzystnie na wódkę! A tak żebrać im nie wolno; dostaną bowiem tutaj w takim domu pracę przejściową, za co mają prawo do zupełnego utrzymania. Alkoholu tutaj nie dostaną pod żadną postacią.

„I z satysfakcyą skonstatować można, z jaką to radością i z jakiem zadowoleniem każdy po pracy z kubeczkiem swoim podąża do zdroju po napój zdrowotny. Właśnie to wykluczenie wszelkich trunków alkoholicznych i praca, którą tutaj znajduje zaraz, odzwyczajają od skosztowania życia żebraczego, chroni od noclegu po knajpach, oberżach, gdzie każdego wieczoru prawie zmuszonym był się upić.

„Wielu już na tej drodze, przez takie domy, uszło zupełnej ruiny i zachowało chęć do życia poczciwego i pracy — a ilu przez nie powróciło tą drogą do uczciwej i trzeźwej pracy, o tem napisaćby można dużo!“

Wojownicy arabscy w Trypolisie.

Od czasu wmieszania się Arabów do wojny włosko-tureckiej nastąpiła stanowcza zmiana na terenie walki, którą przypisać należy waleczności i męstwa tych synów pustyni. Otóż wojownicy arabscy najprawdopodobniej i w dalszym ciągu wojny będą odgrywali najważniejszą

rolę, dlatego warto się im lepiej przypatrzeć i poznać przedewszystkiem ich charakter i temperament.

Ci „Arabowie“, a raczej Berberowie tylko w małej części są potomkami wyznawców Proroka, którzy w roku 1050 po Chrystusie w liczbie około 250 tysięcy głów wyemigrowali do Afryki północnej. Nie wiadomo, skąd pochodzą, zdaje z owej wielce ciekawej ludności pierwotnej Afryki północnej, od której przejęli także swe główne zalety charakteru i umysłu.

Berberowie trypolitańscy rasy swej już nie utrzymali tak czysto, jak synowie wysokich gór nadbrzeżnych, których Francuzi zowią Kabylami, w obecnym ruchu islamizmu przeciw Włochom odgrywają Berberowie rolę decydującą.

Według profesora Dra Fischera z Marburga, jednego z najlepszych znawców historyi ludów Afryki północnej, Berberowie zamieszkiwali już w czasach przedhistorycznych okolice, w których obecnie żyją. Zdaje się być najprawdopodobniejszem, że kolebkę swą mieli w Europie, a ich niebieskie oczy i blond włosy zdaje się mówić za tem, że są pochodzenia germańskiego (?).

W każdym razie czas ich osiedlenia się w Afryce przypada na okres przed rokiem 1500 przed Chrystusem. W epoce cesarstwa rzymskiego posiadali już Berberowie swą własną wysoko rozwiniętą kulturę, a w wiekach średnich, kiedy islam stał u szczytu swej potęgi, wpływy ich musiały być bardzo znaczne.

Ów ród hamicki, chociaż zalewali go obcy przybysze, zarabizował się się tylko powierzchownie, w istocie zaś dzięki swej energii i wyjątkowym zaletom zachował swe właściwości narodowe, albo je raczej, jeszcze lepiej uwydatnił. Berberowie są pod względem postaci cielesnej rasą bardzo silną i odporną.

Nikt inny nie potrafi znosić tak łatwo największych trudów fizycznych, niedostatku i zmian pogody, co Berberowie. „Berberowie posiadają wszelkie zalety ciała i ducha, aby być znakomitymi żołnierzami“ — oświadcza profesor Fischer. Nadzwyczajną siłę i długie życie zawdzięczają Berberowie z pewnością tej okoliczności, że już

od najmłodszych lat, w wieku dziecięcym, znosić muszą niewygody i hartują w ten sposób swe ciało.

Prawdziwi Arabowie z natury są leniwi i powolni, Berberowie tymczasem mają umysł bystry i zdolność szybkiej oryentacyi, zwłaszcza w rzeczach praktycznych, przytem są bardzo pracowici. „Berber jest namiętny i ruchliwy, przytem jednak poważny, nawet smutny“ — powiada profesor Fischer, — „posiada jak to często sam stwierdzić miałem sposobność, ambicyę osobistą i nie znosi złego, poniżającego traktowania go.

„Berber dotrzymuje słowa! Wysoko jest u nich rozwinięty zmysł dla zarobkowania, przytem potrzeby ich są bardzo skromne“. Zdziwienie wywołuje ich twórczość na polu uprawy roli. Niektóre górzyste i skaliste okolice w Trypolisie przekształcili za pomocą sztucznych nawozów i tworzenia teraz w najpiękniejsze ogrody. Berberowie przyjęli w wieku XVI. religię mahometańską, przejęli od Arabów ich podział roku, a sekty i różne zakony religijne odgrywają u nich wybitną rolę. Z ludem o takim charakterze i takich zaletach trudno będzie Włochom prędko się uporać.

Śmierć Tytana.

Noc jasna, chociaż bez księżyca, ale za to niebo iskrzące się gwiazdami, morze spokojne. Czwarty już dzień mknie po oceanie Atlantyckim okręt-olbrzym, jakiego jeszcze świat nie widział, po raz pierwszy spuszczony na morze „Titanic“.

Miał on pobić szybkością wszystkie okręty. — Więc płynie ten olbrzym z szybkością 40 do 50 kilometrów na godzinę; przepływa w pierwszym dniu 484 mil morskich, w czwartym dniu jeszcze szybciej, bo 519 mil. (Mila morska równa się 1 kilometr 835 metrów).

Przyjemne jest życie na oceanie, zwłaszcza, gdy się jedzie na takim statku, jak „Titanic“ („Tytan“) urządzonym z największym przepychem, jaki na lądzie spotkać

można chyba w najwspanialszych hotelach lub pałacach królewskich.

Podróżni pierwszej klasy opływają na „Titanicu“ w najwykwintniejsze dostatki. Zbytkownie urządzone salony, jadalnie, sala balowa, czytelnie, biblioteki, łaźnie rzymskie i tureckie, spacery i place do zabaw. Wszystkie piętra — a jest ich siedm na „Tytanie“ oświetlone elektrycznie, wszędzie kwiaty, zimowe ogrody, wszystko miękiemi kobiercami pokryte.

Sale do gry przepełnione, salony pełne wytwornie ubranych panów i pań, a „Tytan“ płynie jak zaczarowany okręt z bajki. Właśnie skończył się wielki obiad. Jedni z podróżnych zasiedli do gry — drudzy zabawiają się rozmową — tylko starsi zamierzają udać się na spoczynek.

Nagle silne wstrząśnienie, huk, łoskot, jak żeby śruby okrętowe wyleciały. Z salonów wybiegli panowie na najbliższy pokład. Co się stało?

Nic — brzmi odpowiedź służby. Uspokojeni wracają do swych zabaw.

Kapitan Edward Smith, który był na obiedzie u Ismay'a prezydenta „Towarzystwa Białej gwiazdy“ właściciela „Titanica“, spieszy na plac komendy, na najwyższym pomoście.

Góra lodowa — mruknął kapitan — i rozkazuje zamknąć przewody szkatuł. W takim razie okręt powinien był zwolnić biegu, a „Titanic“ był w pełnym biegu. Godzina była 11 minut 35 w nocy.

Na statku zrobiło się zimno, kapitan zeszedł na dół do hali maszynowej. Tu przekonał się zaraz, że katastrofa jest nieuniknioną. Dolna część hali maszyn zalana już była wodą.

Wtedy zabrzmiała straszna komenda:

„Wszyscy pasażerowie na pokład, wszystkich zaopatrzyć w pasy ratunkowe“. Telegrafista zaś okrętowy otrzymał rozkaz, by na wszystkie strony rozesłał sygnały w tych strasznych literach: „Ratujcie dusze nasze!“

Gdyby na okręcie „Parisian“, który znajdował się w tej chwili zaledwie o 100 mil morskich od „Tytanica“

nie był spał telegrafista, cała załoga okrętu „Titanic“ mogłaby być uratowaną.

Ale czy telegrafista okrętu „Parisian“ spał, czy też — jak się tenże tłumaczy — przyrząd telegraficzny był popsuty — dość, że sygnału nie odebrał — a „Carpathia“ choć przybyła natychmiast — jednak, że była oddalona o 400 mil, przyjechała na miejsce katastrofy — już za późno.

Tymczasem na „Titanicu“ wszczął się ruch. Pasażerowie ubrali się w pasy ratunkowe, ale nie wierzyli jeszcze, by okręt mógł zatonąć. Tak wielkie było zaślepienie ludzkie, taka wiara w bezpieczeństwo na „Tytanie“.

Naraz rozeszła się komenda:

„Spuszczać łodzie! Wszyscy mężczyźni mają się cofnąć w tył przed łodziami, a panie i dzieci zejść na pokład niższy, wsiąść do łodzi!“

Teraz dopiero zrozumiano, że niebezpieczeństwo jest groźne.

Godzina była 12 minut 15 w nocy.

Rozpoczęły się straszne sceny.

Kobiety nie chciały schodzić na łodzie. Pierwszą musiano spuścić w worku.

Pierwsi zrozumieli niebezpieczeństwo maszyniści, palacze, służba kajutowa, i ci poczęli cisnąć się do łodzi. Musiano ich siłą odpychać. Zawrzała walka o miejsca. Kapitan uformował szpaler oficerów z dobytymi rewolwerami i tym sposobem utworzono drogę dla kobiet i dzieci.

Telegrafista rozsyłał coraz rozpaczliwsze sygnały: „Jesteśmy już prawie całkiem pod wodą! ostatnia łódź odeszła — toniemy!“

Wtedy kapitan, który ze spokojem kierował całą akcyą ratunkową powiedział:

— „Chłopcy, spełniliście swoją powinność, teraz zwalniam was ze służby, każdy niech się sam ratuje, jak może!“

A tymczasem na okręcie rozgrywają się sceny, których żadne pióro nie opisze. Orkiestra gra marsze, dzielni bohaterowie ci muzykanci. Łodzie odpływają jedna po drugiej, jak najdalej od tonącego okrętu. Kapitan stoi na swoim miejscu. Okręt się przechyla, co pięć minut zata-

pia się głębiej. Już cały przód okrętu pod wodą; kapitan stoi na swojem miejscu. Światła gasną, maszyny przestają pracować, robi się straszna ciemność. Kapitan stoi na swojem miejscu. Muzyka gra hymn: Bliżej, bliżej Boże do Ciebie!

Kapitan stoi na swojem miejscu. W łodziach odjechało 705 pasażerów, przeważnie kobiet i dzieci, oraz wielu z pośród służby: palaczy, maszynistów i tych mężczyzn, którzy pierwsi wsiedli. Tysiąc sześćset trzydzieści pięć osób zginęło. Sześć kobiet pozostało na statku, nie chciało bowiem opuścić swych mężów.

Ostatnia chwila do ratunku! — woła kapitan. —

— Twoja droga jest moją drogą — powiada pani Strauss do męża i pozostaje na statku z mężem i razem giną.

Nadchodzi ostatnia chwila.

Olbrzymi okręt przez połowę zanurzony, tylko część wystaje na 150 stóp ponad morze. Sterczy ohydny kadłub najpiękniejszego dzieła ludzkiego. Tysiąc ludzi na pokładzie; nagle fala zalewa wszystko, rozbitcy w łodziach słyszą jescze ostatnie tony hymnu: „Zbliżamy się do Ciebie Boże!“

Tylko morze szumi, a pod falami jego znika okręt, który był podziwem wszystkich.

Kapitan Smith ostatni rzuca się do morza, ratuje jeszcze jakiegoś chłopaka, fala porywa go, jeszcze raz ją zwycięża, wreszcie ginie, jak prawdziwy marynarz.

Najpiękniejsza śmierć, jaka przystoi mężczyźnie, jest, jeżeli umiera dla uratowania człowieka.

Bohaterską śmiercią zginęli kapitan Smith, milioner pułkownik Astor, który wyratował swą młodą żonę, major Butt, przyjaciel prezydenta Tafta, powracający z Rzymu do ojczyzny, p. Stead, wielki pisarz polityczny, którego jeszcze w ostatniej chwili widziano stojącego na pokładzie i tylu innych bohaterów, którzy poszli w głąb oceanu, jak w łóżko.

O godzinie 3 po północy już było po wszystkiem. Dwie i pół godziny trwało konanie „Titanica“. Jeszcze godzina i 15 minut upłynęło, zanim na ciemnym, spokojnym oceanie zjawił się statek „Carpathia“, którego

światła zdala już widziane, budziły nadzieję ratunku dla rozbitków na łodziach i zabrał pomarzłych na swój gościnny pokład. Setki trupów po morzu pływało zamarzniętych lub wyrzuconych z łodzi.

Trzebaby pióra jakiegoś niepojęcie zdolnego pisarza, by oddać, by opisać ową straszną chwilę. gdy „Titanic“ zginął. i owo bohaterstwo i poświęcenie tych, co ratowali kobiety i dzieci, a sami zostali na pokładzie, by zginąć niechybną śmiercią.

Nie na darmo u Anglików cześć dla bohaterów wielka. Naród przejęty taką czcią musi wydawać bohaterów i ma ich. Dowiedli oni tego w najcięższej chwili, niosąc swe życie w obronie innych.

Mogą oni służyć i służyć będą za wzór poświęcenia i miłości bliźniego. Cześć im!

TO I OWO.

Węgiel kamienny przed pięciu wiekami.

Chociaż pokłady węgla kamiennego w Anglii nie prędko się jeszcze wyczerpią, w dziennikach rozlegają się od czasu do czasu głosy, które przewidują różne okropności, mające nawiedzić ludzkość po wyczerpaniu się zasobów węgla i nawołują do oszczędności i nie marnowania tego drogocennego »chleba wielkiego przemysłu«.

Przed pięciuset z górą laty nieco inaczej oceniano pożytek węgla. Anglia wówczas niewiele jeszcze wiedziała o swych bogatych pokładach węgla i kiedy na początku XIV. wieku barki przywiozły po raz pierwszy z Newcastle do Londynu ładunek węgla kamiennego, to gmina stolicy wystosowała do tronu petycyę o zakaz palenia w piecach tym niebezpiecznym materyałem«.

Ponieważ zakaz królewski nie powstrzymał całkowicie przywozu węgla, więc ustanowiono prawo, na którego mocy każdy, kto palił w piecu lub gdzieindziej węgiel kamienny podlegał karze śmierci. Tylko kilka luźnie położonych za rogatkami domów otrzymało specyalne pozwolenie na używanie »materyału przeklętego«. Prawo karzące śmiercią

konsumentów węgla, nie zostało tylko literą martwą. Kroniki więzień londyńskich wspominają o paru obywatelach tego miasta, którym ucięto głowy za palenie węglem w swych piecach.

Wesoły i dziwaczny pogrzeb.

W Modigliano we Włoszech zmarł przed kilku tygodniami handlarz koni, nazwiskiem Maldo Samori. W testamencie przeznaczył 20 tysięcy lirów na miejscowy szpital, ponadto wyraził życzenie, by na pogrzebie postępowała za trumną orkiestra, grając same marsze i melodyjne walce z najnowszych operetek.

W orszaku żałobnym miał się znajdować również wielki wóz, naładowany beczkami wina, przeznaczonego dla uczestników pogrzebu. Co dwieście metrów miał się kondukt wedle życzenia zmarłego zatrzymywać, by publiczność, biorąca udział w pogrzebie, mogła się na dalszą drogę... pokrzepić.

Wykonawca tego oryginalnego testamentu, dyrektor kasy oszczędności, Leopold Briccoli, musiał się zobowiązać jeszcze za życia zmarłego, że zastosuje się do ostatecznej woli Samori'ego, pogrzeb więc przedstawiał się ogromnie... interesująco i sprawiał raczej wrażenie zabawy weselnej.

Podpita publiczność śpiewała uliczne piosenki i tańczyła, wznosząc okrzyki na cześć pomysłowego nieboszczyka. Oczywiście duchowieństwo katolickie nie uczestniczyło w tym pogańskim pogrzebie.

—W Offenbach nad Menem zmarł nadburmistrz Brink. Postanowił on w testamencie, ażeby ciało jego najpierw spalić, a popiół zawieść do lasów w Taunus i tam go rozwiać na wszystkie strony świata. Życzenie jego zostało spełnione.

Krawiec żebraków i złodziei.

W Londynie istnieje skład gotowych ubiorów specyalnie dla żebraków i złodziei. Właściciel sam był niegdyś zawodowym złodziejem, ale bez wielkiego powodzenia, co skłoniło go do założenia interesu, odpowiadającego »wymaganiom chwili«.

Zawód żebraka i złodzieja nie jest tak łatwy, jakby się zdawało. Przedewszystkiem trzeba mieć odpowiednią odzież i tę to najpilniejszą potrzebę załatwia ów magazyn. Właściciel, niegdyś także krawiec, tak się wydoskonalił, że żadne łachmany żebracze nie zrobią takiego wrażenia i nie wywołają takiego współczucia, jak kostyum z tego magazynu. Można tam oglądać całe zbiory wytartych marynarek z obdartą podszewką, kamizelek bez guzików, spodni połatanych itd.

— Pan nie wszystko jeszcze widział — objaśniał właściciel sklepu pewnego dziennikarza zwiedzającego ten magazyn. Istnieje przecież lewa strona, nie mniej ważna. Prawa strona dla publiczności, lewa dla tego, kto nosi ubranie. Każde ubranie w tym magazynie odznacza się jakąś osobliwością. W tym n. p. surducie znajduje się kieszeń, w której można dużo zmieścić, a tak ukryta pod łatami i podszewką, że zauważyć jej nie można. Niektóre kapoty mają kieszenie w rękawach i po kilka pod podszewką, a wszystkie są mocne, trwałe, z doskonałego materyału.

Są także płaszcze podwójne. Można je nosić na obie strony: z jednej strony jest to płaszcz granatowy, z drugiej szary deszczowy z kapiszonem. Takie płaszcze są bardzo poszukiwane przez mężczyzn, gdyż w chwilach krytycznych mogą łatwo omylić czujność ścigającego policyanta.

Głównych jednak odbiorców stanowią żebracy. Znajdują się bowiem w magazynie ubrania tak okropnie nędzne, że znakomicie ułatwiają budzenie litości. Podobno magazyn idzie doskonale.

Koza jako mamka.

Lekarz paryski Dr. Boudard wydał swojego czasu pod tytułem: »La chéxere noctrice«, na okładkowej kartce, na której figurowała koza, a pod nią leżące dziecko, ssące wymię kozy. Zdaniem Dra Boudard'a, koza jest najlepszą, najwygodniejszą, a zarazem najtańszą mamką. Odporność zupełna kozy na gruźlicę, mleko wolne od wszelkich zarazków, łatwo strawne, zdrowe i każdej chwili, w dzień czy w nocy, do otrzymania, czynić mają z kozy idealną mamkę. Przy karmieniu dzieci kozą, odpada potrzeba używania tak licznych, a najczęściej mało wartościowych sztucznych środków odżywiania.

Koza jest dobrem i mądrem zwierzęciem — a jest rasa bezrogich, białowłosistych, kaszmiąkich kóz, których mleko prawie, źe nie posiada koziego zapachu. Dr. Boudard kończy swoją książkę apelem, by zwrócono więcej uwagi na tę, stworzoną już z natury mamkę i ze względu na zdrowotność, by dano jej pierwszeństwo przed krową przy karmieniu niemowląt.

O wpływie alkoholu na pamięć

ogłosił niedawno ciekawą pracę, opartą na mozolnych siedmiotysięcznych własnych doświadczeniach, profesor norweski przy uniwersytecie w Chrystyanii, Dr. Ragnar Vogt. Stwierdził on z całą dokładnością, że nawet małe dawki alkoholu, n. p. 15 gramów to znaczy tyle mniej więcej, ile zawiera pół litra piwa, osłabiają stanowczo pamięć, utrudniając n. p. uczenie się wierszy na pamięć i t. p. Po użyciu 30 gramów alkoholu na czczo pamięć bywa nawet przeszło o połowę gorsza.

Oprócz tego zauważył także Dr. Vogt, że to czego nauczył się pod wpływem alkoholu mniej silnie tkwiło mu w pamięci, to znowu, że znacznie łatwiej to zapominał. Doświadczenie to, którego wyniki zgadzają się zresztą zupełnie z podobnemi doświadczeniami prof. Kräpelina, Smitha i innych, powinno skłonić wszystkich pracujących umysłowo, aby we własnym interesie porzucili napoje alkoholowe.

Zegar - olbrzym.

Ameryka, ten kraj cudów, ale i zarazem kłamstw, znowu zadziwia świat cały świeżem dziełem swojej nieporównanej techniki.

Jest niem olbrzymi, największy na świecie zegar, zbudowany niedawno w mieście Jersey, ned rzeką Hudson. Tarcza tego zegara - potwora ma w średnicy 12 metrów; a wskazówka, której przeznaczeniem jest wskazywać tak mizerne miary czasu, jak minty, jest ogromną, przeszło 5-metrową sztabą, o ostrzu na pół metra długim. Ostrze to odbywa w ciągu jednej minuty drogę około 60 centymetrów, a więc w godzinie przeszło trzydzieści kilka metrów. Ciężar całej wskazówki wynosi 370 funtów.

Zegar ten zbudowany jest z ogromnych belek sosnowych, na biało pomalowanych i przypomina z bliska wiatrak. Wznosi się on ponad dachem jednej z fabryk mydła, na 40 metrów ponad ziemię, wskutek czego ogromna jego tarcza jest widzialna w dzień z bardzo nawet wielkiej odległości. W nocy wskazówkę minutową oświetla 36 lampek elektrycznych, godzinową zaś 26.

Olbrzymi ten zegar, który stanowi wprawdzie amerykańską reklamę wspomnianej fabryki, a oddaje znakomite usługi nietylko miastu Jersey, ale i Nowemu Jorkowi, graniczącemu tuż bezpośrednio z Jersey, działa niesłychanie dokładnie. Jest to przedewszystkiem zasługą maszyn wprawiających w ruch zapomocą różnych dźwigni i kół, cały mechanizm zegarowy, a zajmujących wyłączne dla siebie osobną dużą halę przy wieży zegarowej.

Środek do poznania, czy śmierć tylko pozorna.

Bardzo wiele ludzi obawia się, aby ich nie pogrzebano żywcem, a tej obawie podlega nietylko lud, ale i sfery inteligentne. Otóż Francuz, dr. Icard, wynalazł sposób, dzięki któremu każdy może stwierdzić, czy zaszła śmierć istotna, czy tylko pozorna.

Wiadomo, że po śmierci następuje rozkład ciała, czyli, że istniejące w ludzkim organiźmie, mniej lub więcej szkodliwe bakterye, zaczynają niszczyć tkanki. Skutkiem tego procesu chemicznego, krótko po śmierci w płucach powstają gazy siarczane.

Dr. Icard radzi tak postępować: na kawałku białego papieru nakreślić znaki roztworem ołowiu, które będą zgoła niewidoczne, gdyż i ów roztwór jest także biały; następnie za pomocą drutu wprowadzać ów kawałek papieru do górnych dróg oddechowych, n. p. do nosa; jeżeli w płucach wytworzyły się już gazy siarczane, to znaki na papierze poczernieją. Jest to jak widzimy, metoda prosta, a jak twierdzi jej wynalazca, zupełnie pewna.

Polowanie na szczury w Paryżu.

Pan Meinert słynny łowca szczurów zaprosił niedawno sprawozdawcę pewnego angielskiego dziennika na polowanie do podmiejskich tunelów Paryża.

Oto jak korespondent ów opisał potem swe wrażenie:

Przygnębiające uczucie ogarnia każdego, kto pierwszy raz wchodzi do tych wilgotnych, ciemnych ganków, których środkiem płynie rzeka nieczystości i odpadków Paryża. Łowiec w wysokich nieprzemakalnych butach stąpa bezpiecznie i śmiało po wązkich brzegach rzeki, niosąc na plecach klatki osobliwszej budowy, a w ręku małą latarnię. Ze wszystkich ulic prowadzą małe kanały do większych kanałów, a te do podmiejskiej rzeki. W gankach podziemnych żyją tysiące szczurów. Zwierzęta te bowiem lubią ciemność, wilgoć i nieczystość.

Łowcy szczurów przychodzą w nocy, gdy z kanałów nie przypływają nieczystości, a szczury które śpią przez dzień cały, wychodzą na zdobycz reszty potraw pływających w kanale i cenne owady, jak karaluchy, stonogi, żyjące także w brudzie i wilgoci. Szczury piszczą głośno i żałośnie i rozpaczliwie się bronią. Są to bowiem silne i chytre zwierzęta. Pan Meinert nie zabija szczurów. Jedyną jego bronią są nogi i ręce, pokryte niezliczonemi ranami, gdyż szczury gryzą z wielką zaciętością. W jednej godzinie zręczny łowca potrafi schwytać przeszło 100 szczurów, w roku więcej niż 20 tysięcy. Szczury bywają sprzedawane żywcem w Paryżu, lub innych miastach Francyi i Belgii, gdzie używają ich do walk z psami. Widowiska te wielce są ulubione. Skórki szczurów służą do rękawiczek i innych wyrobów. Przeciętna cena szczura wynosi 60 centymów, czyli około 60 halerzy.

Rozmaitości.

Niemczyzna w Galicyi wzrasta coraz bardziej, czego dowodzi rozwój różnych spółek, związków i towarzystw niemieckich,

Ze sprawozdania „Związku chrześcijańskich Niemców w Galicyi“ wynika, że związek ten liczył w roku 1907 6 grup miejscowych, a w nich 1.106 członków, obecnie zaś liczy już 94 grup miejscowych i przeszło 5 tysięcy członków.

Związek otrzymuje z Wiednia z niemieckiego „Związku szkolnego“ zapomogę roczną w kwocie 30 tysięcy koron, na popieranie 15 szkół niemieckich.

Osławiony agitator niemiecki pastor Zökler z Stanisławowa wzywa Niemców w Galicyi, by na każdym kroku zaznaczali swą odrębność narodową i z władzami korespondowali tylko po niemiecku.

Czas już najwyższy, aby naród nasz zwrócił uwagę na coraz większą zuchwałość Niemców w naszym kraju i położyć kres ich uroszczeniom.

Aresztowanie wróżbitów. W ostatnich czasach po ulicach Lwowa wsuwano przechodniom do ręki kartki, zawiadamiające, że „w powrocie z Egiptu zatrzymała się we Lwowie pewna pani, która przepowiada z ręki przyszłość, przyjmuje przy ulicy Iwalidów 1, od godziny 10 rano do 2 po południu i od 5 do 9 wieczorem z wyjątkiem dni piątkowych; opłata za wróżbę 1 koronę“.

Kartki te robiły swoje. Duże rzesze pielgrzymowały na ulicę Inwalidów, aby się dowiedzieć przyszłości od egipskiej wróżki. Aż zajęła się nią policya. Stwierdzono, że ta Egipcyanka jest rodem ze Lwowa, nazywa się Ludwika Hellsteinowa, liczy lat 42, wraz ze swoim mężem Karolem Hellsteinem grasowała po małych miasteczkach Galicyi, wyłudzając od naiwnych i zabobonnych ludzi pieniądze. Wróżbiarkę i jej męża zamknięto w areszcie i wdrożono przeciw nim śledzwo o oszustwo.

Dziwny traf. Przed dwoma tygodniami sąd okręgowy w Baku (w Rosyi) skazał na dwa i pół roku więzienia znanego w tem mieście milionera, Tagiewa, za znęcanie się, nad inżynierem Bebutowym. Skazany Tagiew tytuł rzeczywistego radcy stanu otrzymał za wybudowanie nowego więzienia. Obecnie z racyi skazania go na więzienie tytuł ten utracił i odsiadywać karę będzie we „własnem“ więzieniu, korzystając z udogodnień przez siebie obmyślanych.

Prezydent amerykański gościem u Polaków. W połowie marca bież. roku prezydent Stanów Zjednoczonych Taft, ktory odbywa teraz podróże agitacyjne, złożył wizytę Polakom w South Chicago. Ludność polska witała go owacyjnie; dzielnica przybrała wygląd świąteczny.

Taft rozmawiał dłuższy czas z Biskupem Rhodem, następnie zwiedził szkołę parafialną, utrzymywaną przez parafię polską i rozmawiał z dziećmi, witany przez nie przemową i śpiewami. Owacyjnie przyjęto ustęp mowy prezydenta do dzieci, w którym zaznaczył: „Bądźcie dobrymi Polakami, kochajcie ojczyznę waszych rodziców, bądźcie też dobrymi Amerykanami. Macie kochać waszą ojczyznę, czytać jej dzieje pełne bohaterstwa — ale to wam wcale nie przeszkadza być dobrymi obywatelami tego kraju, stojącymi na równi z tymi, których dziadowie i pradziadowie w Ameryce się urodzili Na równi z nimi macie prawo korzystać z dobrodziejstw tego kraju“.

Biskup Rhode w imieniu Polaków podziękował prezydentowi za to, że Polaków odwiedził. Zapewnił go o przywiązaniu Polaków do takiego prezydenta, który wszystkich na równi traktuje i żąda, aby się wszystkim sprawiedliwość działa. Prezydent Taft zamierza w najliższym czasie odwiedzić inne dzielnice polskie, aby zyskać dla siebie poparcie Polaków przy najbliższych wyborach na prezydenta.

Zniechęcenie żołnierzy włoskich. Z pola walki w Trypolisie otrzymało socyalistyczne włoskie pismo „Avanti“ wiadomość o coraz większem rozdrażnieniu i wzburzeniu rezerwistów, którzy domagają się puszczenia ich do domów, jak to im przyrzekał dekret królewski przy powołaniu rezerw, zapowiadający zwolnienie ich 1-go kwietnia.

Komenda wojskowa nakłada na żołnierzy za wszelkie objawy niezadowolenia surowe kazy, to jednak sprawy wcale nie poprawia, lecz przeciwnie, jeszcze ją pogarsza. Stan żołnierzy, którzy od sześciu miesięcy pędzą życie w fosach, jest istotnie rozpaczliwy. Oficerowie nie są w stanie przeciwdziałać niezadowoleniu. Komenda odesłała do ojczyzny zaledwie 331 żołnierzy, podczas gdy 20 tysięcy rezerwistów czeka zwolnienia od służby.

Wybuch prochowni. Prochownia wielkich rozmiarów położona w New Jersey pod Nowym Jorkiem wybuchła nagle z niewiadomej przyczyny. Wstrząśnienie było bardzo silne. Z pod gruzów wydobyto dwa trupy, a siedmiu ciężko rannych. Prawdopodobnie jednak jest tam więcej osób zabitych.

Wybuch wulkanu. Na wyspie Oszima w Japonii wybuchł nagle wulkan Miharyama, nieczynny już przęszło 60 lat. Ludność ucieka z wyspy na łodziach.

Skutki wybuchu armaty. Podczas prób strzelniczych w Rio de Janeiro (w Brazylii) wybuchła wielka armata i 12 artylerzystów na miejscu zostało zabitych, a wielu innych ciężko zranionych?

Ile wart człowiek? Dokładnie 30 koron. Tyle warte są pierwiastki chemiczne, z których człowiek się składa, a więc wapno, żelazo, cukier, magnezyum, potas, siarka, fosfor i t. d.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.